Marek Rudnicki

Tryptyk polski. Pokręcone losy

Stanisław. Od Verdun do Woldenberg II C

Koniec sierpnia 1939 r. W 41 Pułku Piechoty Strzelców Suwalskich im. Marszałka Piłsudskiego, dowodzonym przez podpułkownika Kazimierza Wyderko, panowała nerwowa atmosfera. Od połowy miesiąca w kadrze oficerskiej panowało przekonanie, że wojna z Niemcami jest pewna.

W miasteczku ta nerwowość też była widoczna. W rodzinach żydowskich, których w Suwałkach mieszkało wiele, trwało wielkie pakowanie. Oni bardziej niż Polacy czuli, że szykuje się coś niedobrego. Biedniejsi żydzi chcieli uciekać na Wschód, bliżej granicy z Rosją Sowiecką, bogatsi nie wiedzieli, co robić. Nie marzył im się bolszewicki raj, ale też wiedzieli, co w III Rzeszy wyrabia się z Żydami. Mieli tego przedsmak, gdy tuż przed wojną do Wielkopolski przybyli Żydzi z Niemiec. Jedni i drudzy siedzieli na walizkach czekając na rozwój wypadków.

W polskich rodzinach wojskowych też trwało poruszenie. Granica została wzmocniona dodatkowymi oddziałami wojska. W rozmowach wyższych oficerów przewijała się pewność, że wojna wybuchnie lada moment. Nikt nie wierzył, że napięta sytuacja międzynarodowa rozejdzie się po kościach. Na ulicach pojawili się zmobilizowani policjanci, którzy zajmowali posterunki na rogatkach miasta. Suwałki zostały zaciemnione na wypadek nocnego ataku bombowego.

Szlify pod Verdun

Stacjonujące w Suwałkach oddziały posiadały bogate tradycje historyczne. Dowódcy brygady i pułku kawalerii mieli za sobą wieloletni staż i duże doświadczenie bojowe wyniesione jeszcze z okresu minionej wojny.

Oficerowie i podoficerowie nierzadko byli wychowankami pułku. Pochodzili w większości z terenu powiatów augustowskiego i suwalskiego. Część kadry doświadczenie zdobywała jeszcze podczas pierwszej wojny światowej. Znamiennym tego przykładem był bliski kolega kpt. Stanisława Praczyka, kapitan Korzon. Lewą rękę stracił podczas zmagań Wielkiej Wojny. Doceniano jego wiedzę i doświadczenie i pełnił funkcję dowódcy kompanii cekaemów w jednym z batalionów.

Kapitan Praczyk również należał do oficerów najbardziej doświadczonych. W wojsku służył nieprzerwanie od 1916 roku, gdy został wcielony do armii niemieckiej. Na francuskim froncie, gdzie służył w 399 pp. Gwardii, odznaczył się wyjątkową odwagą. Był wielokrotnie ranny i kontuzjowany. Brał udział w bitwie pod Verdun, został odznaczony wieloma medalami i odznaczeniami, w tym krzyżem żelaznym.

Wojna i Verdun stały się osobistą jego traumą. Na front trafił wraz ze swoim młodszym bratem, Józefem. Przed wyjazdem ich matka, Józefa, zobowiązała go, aby pilnował brata. Z braćmi bywa różnie, nie zawsze ten młodszy słucha starszego. A że Józefowi imponowało, że starszy brat cieszy się poważaniem wśród kolegów i jest chwalony przez kadrę za odwagę i męstwo, chciał mu za wszelką cenę dorównać. Nie pomogły strofowania Stanisława, upominanie i tłumaczenie, a nawet „twarda ręka", zawsze „wyrywał" się do przodu. Podczas jednego ze szturmów, nie zważając na ogień karabinów maszynowych, próbował dotrzeć do nieprzyjacielskich okopów. Nie udało się. Seria trafiła go w pierś. Nie przeżył.

Stanisław długo nie mógł się pogodzić z myślą, że nie upilnował niesfornego brata. Być może śmierć Józefa przyczyniła się też do przedwczesnej śmierci ich ojca, Kacpra, który rok później zmarł, choć w opinii rodziny, cieszył się doskonałym zdrowiem i wigorem.

Synalek generała

Koniec pierwszej wojny zastał Stanisława w Berlinie. Został tu oddelegowany do 4 Pułk Grenadierów Gwardii im. Królowej Augusty. Mimo, iż cesarstwo się rozsypywało, zaproponowano mu, aby pozostał w wojsku. Nie skorzystał z propozycji. Prawdopodobnie był wówczas w stałym kontakcie z polskim wywiadem.

Z zapisków rodzinnych wynika, że 27 stycznia 1919 r. już, jako polski oficer, wyjechał na front polsko-bolszewicki. Dowodził samodzielną kompanią cekaemów. Za tę wojnę otrzymał również wiele odznaczeń. Odznaczał się chartem ducha i poczuciem sprawiedliwości, za co kochali go żołnierze. W tym okresie Praczyk o mały włos stanąłby przed plutonem egzekucyjnym polskiego wojska. Przyczyna była prozaiczna - wypadek z bronią. Kompania po wypoczynku na tyłach wracała na front w towarowych wagonach. W kompanii służył syn jednego z generałów. Z nudów żołnierze i oficerowie czyścili broń. Gdy pociąg szarpnął, pistolet tego młodego oficera wypalił, ciężko go raniąc.

Takie wypadki zdarzały się i to wcale nie rzadko. W tym przypadku ocena zdarzenia była inna. Syn generała nie był lubiany nawet wśród kadry oficerskiej. Zadufany w sobie i zarozumiały nie krył przed nikim, że w jego mniemaniu to on powinien dowodzić kompanią, a nie jakiś tam były „pruski" oficer. Wszak, co podkreślał na każdym kroku, był synem generała. Co rusz łamał dyscyplinę i przysparzał wiele kłopotów. Na tym tle dochodziło do licznych spięć i utarczek nie tylko z jego bezpośrednim dowódcą, kapitanem Stanisławem Praczykiem, ale również z innymi oficerami, na co dowodzący dywizją przymykali, choć niechętnie oczy.

Gdy młodzian postrzelił się, pod naciskiem ojca od razu powołano specjalną komisję, która miała wskazać winnego zdarzenia. Generał próbował wywrzeć presję na jej członków, wskazując że winę ponosi Praczyk i wręcz sugerował, że był to zamach na jego syna. Członkowie komisji nie ulegli presji. Po skrupulatnym śledztwie orzekli, że zdarzenie nie miało niczego wspólnego z zamachem, a winę za nie ponosi wyłącznie syn generała.

Z Praczykiem, dla uspokojenia ważnego generała, który uruchomił swoje koneksje, aby ukarać kapitana, należało coś zrobić. Nie zdegradowano go, choć żądał tego generał. Zrobiono za to coś nietypowego. Zdjęto go z dowództwa kompanii. I jednocześnie dostał rozkaz utworzenia nowej, ale z byłych więźniów. Kuriozalnym było, że wyposażenie jednostki żołnierze mieli zdobyć na polu walki. W trzy miesiące później kompania Praczyka należała do najbardziej karnych w dywizji i najlepiej uzbrojonych.

Jak to się udało Praczykowi, o tym do końca życia nie chciał mówić. Uśmiechał się tylko, podnosił brwi i tylko kiwał głową do wspomnień. Fama rodzinna głosi, że na początku musiał dla przykładu zastrzelić kilku najbardziej agresywnych, przydzielonych mu bandytów.

W 41 Suwalskim Pułku Piechoty Marszałka Józefa Piłsudskiego pełnił funkcję dowódcy kompanii zwiadowczej i prawdopodobnie był związany z wywiadem. Z zachowanych dokumentów wynika tylko, że był dowódcą kompanii gospodarczej i oficerem taborowym. Można snuć domysły, dlaczego tak doświadczony oficer mimo upływu lat nie awansował. Być może cały czas ciążyła na nim infamia, swoista zemsta generała. Z drugiej strony, skoro doceniano go w sławnym pułku, inne zdanie o Praczyku miał jego dowódca, ppłk. Kazimierz Wyderko.

Ludwika. Buciki uratowały im życie

Ludwika Praczyk miała we wrześniu rozpocząć naukę w czwartej klasie szkoły podstawowej. Miała 11 lat. Pod koniec sierpnia jej ojciec, kpt. Stanisław Praczyk oznajmił żonie, że przyszedł rozkaz, aby rodziny wojskowe, mieszkające w koszarach, wyprowadziły się, a najlepiej, aby opuściły miasto.

Nadeszła też informacja, że w razie wybuchu wojny zawodowi oficerowie zostają nominowani na stopień wyżej.

W dowództwie 41 pułku zdawano sobie sprawę, że gdy rozpoczną się działania wojenne lotnictwo niemieckie stacjonujące w Prusach prawdopodobnie zbombarduje miasto i koszary.

Był to duży kompleks, wybudowany jeszcze w okresie zaboru rosyjskiego, nazywany "strzeleckimi", zlokalizowany przy wyjeździe z miasta w stronę Augustowa.. W Suwałkach stacjonowały liczne oddziały ze względu na strategiczne położenie miejscowości. Skoncentrowanie znacznej liczby wojsk ułatwiało na wypadek walk szybkie przyjęcie odpowiedniego ugrupowania bojowego. Podejrzenie o bombardowanie miasta potwierdziło się już 2 września. Niemieckie bombowce zrzuciły bomby na dworzec kolejowy, na którym ładowano transporty piechoty i artylerii oraz na koszary.

Mama Ludwiki, Józefa, nie chciała opuszczać koszar, Nie lubiła przeprowadzek. Upierała się, że dopiero przyzwyczaiła się do nowego mieszkania. Wcześniej niechętnie wyprowadzała się z mieszkania w Augustowie, gdzie mieszkali rok. Nie wierzyła, że wybuchnie wojna. Dopiero pod naciskiem męża i żon innych oficerów, zgodziła się na wyjazd. Spakowali się. Wszystkie rodziny zostały wywiezione do Warszawy. Józefa uważała, że stolica również znajdzie się w strefie bombardowania i że wcale tam nie będzie bezpieczniej. Podobnego zdania był też jej mąż.

- Ojciec zawiózł nas więc do Orli nad Niemnem, gdzie mieszkał wujek, też wojskowy, sierżant Józef Buła – wspomina Ludwika początek wielkiej wędrówki, który rozpoczął się dla niej na kilka dni przed wybuchem wojny.

Ucieczka w nieznane

Gdy wojna wybuchła, Ludwika nie przeżywała jej tak, jak dorośli. Gorączka wojenna, niepewność jutra, bombardowania, niepokój o ojca, wszystko to było poza nią.

Obserwowała tylko, jak drogi zapełniają się uciekinierami, a artyleria ostrzeliwuje przelatujące samoloty. Widziała też pierwszych jeńców niemieckich. Od mamy, znającej perfekt język niemiecki dowiedziała się, że byli to wzięci do niewoli rezerwiści z Prus Wschodnich. Głodni i brudni, prosili o jedzenie. Dostali od Polaków chleb, kiełbasę i papierosy. Polscy żołnierze informowali ich, że Francja i Anglia przystąpiły do wojny i Hitler szybko przegra. Matka rozmawiała z jeńcami, powtarzając im te informacje. Potakiwali skwapliwie, im też nie zależało na wojnie. Mieszkali w tej części Prus, która graniczyła z Polską. Przed wojną często współpracowali z polskimi przemytnikami i razem szmuglowali w obie strony różne towary. Nie mieli nic przeciwko Polakom. Wkrótce jednak dała o sobie znać rzeczywistość wojenna.

Zaczęły się mnożyć napady na Polaków. Rosjanie przekroczyli granicę Polski. Po mieście rozeszła się wiadomość, że Sowieci wypuścili z więzień wszystkich przestępców. Stworzone przez nich bandy zbrojne zmierzały w kierunku Orli.

Nikt wówczas nie orientował się, czy wojna jeszcze trwa, kto zwyciężył i skąd brały się rosyjskie oddziały. Zaczęła szerzyć się panika.

- Mama natychmiast spakowała nas, siebie, mnie i mojego młodszego brata Janka - wspomina tamte dni Ludwika. - Chciała pojechać pociągiem gdzieś dalej, ale kolej przez Orlę już nie chodziła.

Buciki za życie

Mama Ludwiki dowiedziała się od znajomych, że pociąg kursuje nadal obok leśniczówki odległej o kilkanaście kilometrów od Orli.

Część osób zdecydowała się tam pojechać. Józefa Praczyk wynajęła miejscowego chłopa z furmanką. Nie chciał pieniędzy za przewóz, zażądał natomiast jakiegoś ubrania. Dostał płaszcz. Do leśniczówki dotarli późną nocą

- Ledwie mama położyła nas spać pokotem wśród innych uciekinierów, gdy dotarł tu chłopak z drugiej leśniczówki – opowiada Ludwika z drżeniem w głosie na wspomnienie tamtych chwil. - Wysłał go tamtejszy leśniczy z informacją, że bandy ukraińskie mordują Polaków i trzeba uciekać.

Większość osób nie uwierzyła w te wiadomości. Byli zmęczeni, a poza tym uważali, że tu będą bezpieczni, głęboko w lesie, z dala od głównych dróg. Józefa Praczyk nie

zbagatelizowała ostrzeżenia. Pamiętała, co działo się w czasie wojny polsko-bolszewickiej i wolała nie ryzykować. Odnalazła tego samego chłopa, który jeszcze nie odjechał do Orli. I tym razem za użyczenie furmanki nie chciał pieniędzy, a materialnej zapłaty.

- Przed wyjazdem z Orli spodobały mu się sznurowane buciki, które nosiłam, ale gdzieś w tym ścisku, pośpiechu i bałaganie zapodział mi się jeden i mama chciała dać mu inne ubranie - wspomina Ludwika, opowiadając o drobnych zdarzeniach z wędrówki. - Teraz nic nie mieliśmy innego, by mu zapłacić. Chłop uparł się, że nie chce i postawił warunek, że albo dostanie moje buciki albo możemy sobie wędrować na piechotę. I nagle, niemal cud, przy pakowaniu rzeczy ten zagubiony wcześniej bucik odnalazł się. Chłop był usatysfakcjonowany, a mi się zdawało, że to święty Antoni wysłuchał mojej modlitwy.

Nad ranem dotarły do Orli. W kilka godzin później miasto obleciała wiadomość, że wszyscy Polacy, którzy pozostali w leśniczówce, zostali wymordowani. Zarówno mężczyźni, jak i kobiety, oraz dzieci. Nikogo nie oszczędzono.

Droga przez mękę

Gdy hiobowa wieść rozeszła się wśród przerażonych mieszkańców, Józefa Praczyk postanowiła kolejny raz uciekać wraz z dziećmi. Zdawała sobie sprawę, że i tu nie będą bezpieczni. Tylko gdzie się udać? Możliwości się wyczerpały.

Nie zdążyli nigdzie wyjechać. Do miasteczka weszły oddziały radzieckie. Rozpoczęła się sowiecka okupacja. Wkrótce ogłoszono oficjalny komunikat, że osoby, które przed wojną mieszkały po stronie zajętej przez wojska niemieckie, mogą tam wrócić.

Józefa Praczyk szybko podjęła decyzję. Nie wahała się. I nie dlatego, że wolała Niemców, ale Rosjanie rozpoczęli już aresztowania wśród rodzin oficerskich.

Zdecydowała się na wyjazd do Krotoszyna, gdzie mieszkali jej rodzice, Ludwika i Józef Drygas. To właśnie po swojej babce Ludwika odziedziczyła imię. Najpierw jednak trzeba było przejść dwie gruntowne kontrole – sowiecką, a następnie niemiecką.

Józefa ukryła część rodzinnych papierów w futrze z lisa, narzucanym na ramiona, a srebrne monety w chusteczce. W drugą chusteczkę zawinęła kawę. Oba zawiniątka wsadziła do torebki. Rosjanie kontrolowali ubrania, ale pominęli torebkę. Bardziej ich interesowało, czy w rodzinie był wojskowy. Jeśli ktoś przyznał się, cofali go z powrotem. Tę kontrolę przeszli bez przeszkód. Józefa nakazała dzieciom, by na pytania nie przyznawały się, kim jest ich ojciec. Dużo gorzej przedstawiała się kontrola niemiecka, bardziej skrupulatna od sowieckiej.

- Nawet mojej lalce, Shirley Temple, żołnierz oderwał głowę, by zobaczyć, czy nic nie ma w środku - opowiada o drobiazgowej kontroli. - W pewnym momencie spytał mamę, czy ma coś w torebce. Zamarliśmy. Mama, choć doskonale znała niemiecki udała, że nie rozumie pytania.

Niemiec wyszarpnął jej torebkę i zaczął wyrzucać na ziemię jej zawartość. Gdy wypadło jedno z zawiniątek, mama zrobiła się blada.

- Zaraz tej polskiej świni pokażemy, jak karze niemiecka sprawiedliwość – żołnierz zaśmiał się do stojącego obok kolegi i schylił się, by podnieść zawiniątko.

Ludwika kurczowo trzymała się spódnicy matki. Obie ze strachem śledziły ruchy Niemca, który z satysfakcją rozwiązywał chusteczkę. Gdy to zrobił, zaskoczony zamarł na chwilę, po czym przeklął ordynarnie pod nosem, rzucił na ziemię nie wypatroszoną jeszcze do końca torebkę i kazał się wynosić.

W chusteczce była kawa.

Zapamiętała jak go bili

Żydzi według umowy między Rosją a III Rzeszą mogli jechać tylko do Grodna. Nie wolno im było przedostawać się na teren zajęty przez wojska niemieckie. Mimo to wielu z nich, tych bardziej majętnych, wolało trafić pod okupację niemiecką niż pozostać w strefie sowieckiej.

Tu nie czekało na nich nic dobrego i w przeciwieństwie do biedoty żydowskiej, nie przepadali za Rosjanami. Zapamiętała urywek śpiewanej przez nich piosenki: „*Ach, witaj*

bracie w Proletariacie, kolega z Rzeszy do ciebie śpieszy". Ci bogatsi mówili z nadzieją o niemieckiej kulturze i liczyli, że po tej stronie jakoś ułożą sobie życie.

Tuż przed przygodą z chusteczką pełną kawy Ludwika była świadkiem, gdy żołnierze odkryli, że jednym z tych, co chcą się przedostać na niemiecką stronę jest Żyd. Od razu zaczęli go bić, kopać, a gdy już nie ruszał się zalany cały krwią, nieprzytomnego jak worek kartofli przerzucili na stronę rosyjską.

Dom dziadków

W Krotoszynie Józefa z dziećmi doczekała końca wojny. Nie bez kłopotów, choć te dotknęły głównie Ludwikę.

Józefa znalazła prace u niemieckiego aptekarza, Blumenfelda. Ludwika wspomina go, jako dobrego człowieka, który szczególną sympatią darzył jej mamę, bo była żoną oficera, który walczył jeszcze w armii pruskiej. Do tego stopnia, że gdy zimą ogłoszono zarządzenie, że Polacy muszą odgarniać śnieg przed miejscem, gdzie pracowali (matka była wówczas ciężko chora i miała wysoką gorączkę), sam wziął łopatę i zrobił porządek przed apteką. Inni Niemcy nie zwracali uwagi na zdrowie swoich "niewolników" i wyganiali ich na mróz bez względu na ich stan.

Za słuchanie polskiej stacji

- Gdy miałam już 16 lat przyszło zawiadomienie, że mam się stawić w Arbeitsamt - opowiada Ludwika o kolejnym zdarzeniu, które dobrze świadczyło o aptekarzu. - Blumenfeld załatwił ze swoją znajomą, pracownicą tego urzędu pracy, że ona zatrudni mnie jako swoją służącą, a tym samym nigdzie mnie nie wywiozą. I tak się stało.

U owej Niemki, starej panny, nie pracowała długo przez swoją ciekawość. Gdy gospodyni nie było w domu, Ludwika uruchamiała radio. Polakom nie wolno było posiadać odbiorników i ich słuchać, te więc u Niemki mocno ją nęciło. Pewnego razu szukając jakiejś stacji nadającej muzykę trafiła na polskojęzyczną audycję nadawaną prawdopodobnie z Londynu. Zasłuchała się. Pech chciał, że do domu wszedł wówczas siostrzeniec jej gospodyni, służący w SS.

I tym razem wstawiennictwo Blumenfelda i dobra opinia gospodyni uratowała Ludwikę przed konsekwencjami. Co kryło się za tym, nie wiedziała. Poczuła się bezpieczna, ale nie na długo. Gdy w jakiś czas później jej gospodyni wyjechała do Berlina, pamiętliwy siostrzeniec to wykorzystał i spowodował, że Ludwika trafiła do obozu pracy pod Wieluniem, gdzie wraz z innymi kopała rowy przeciwczołgowe.

Szkarlatyna i dyfteryt

Leżała jeszcze chora, gdy Niemcy zaczęli ewakuować się przed zbliżającymi się oddziałami radzieckimi. Był rok 1945. Przed tym kazali wszystkim chorym, prócz tych na tyfus, opuścić szpital.

W gorączce zaczęła wędrówkę na piechotę w kierunku Krotoszyna. Nie pamięta dokładnie, jak to przetrwała. Szła w malignie, trawiona gorączką i gnana jakąś wewnętrzną siłą, w kierunku rodzinnego domu. Pamięta tylko, że raz zatrzymała się przy niej ciężarówka z byłymi więźniami, której kierowca widząc samotną dziewczynę w łachmanach, ledwie powłóczącą nogami, postanowił ją podwieźć w kierunku Krotoszyna. Gdy dotarła do miasteczka, Niemców już nie było.

Co działo się z ojcem przez okres wojny, ani Ludwika, ani nikt z rodziny nie wiedział. Jedyną osobą, która dostała od niego pocztówkę z Oflagu, był brat Wiktor, zastrzelony przez Niemców w 1943 roku.

Praczyk o swoich losach opowiedział dopiero po odnalezieniu rodziny. Do niewoli dostał się pod Kockiem, gdzie walczył pod rozkazami gen. Franciszka Kleberga. Trafił do oflagu Woldenberg II C. Po wyzwoleniu obozu zaczął szukać żony i dzieci. W końcu dotarł do Krotoszyna.

- Pewnego razu pod dom zajechała bryczka zaprzęgnięta w parę koni. – Ludwika uśmiecha się na wspomnienie tamtej chwili. – Powoził nią mężczyzna ubrany w mundur oficera przedwojennego, co było wówczas rzadkością, czymś niespotykanym. Przed domem z kolegami siedział akurat Janek, mój brat. Nie poznał ojca. Gdy rozpoczynała się wojna miał zaledwie siedem lat. I nagle ten obcy patrząc na niego spytał ze wzruszeniem w głosie:

- A ty co, smyku, nie poznajesz własnego ojca?

Marek. Od rusznikarza do szubienicy

Gdy oczekiwał w więzieniu na wykonanie wyroku śmierci, całkowicie osiwiał. Podczas śledztwa nie zdradził ani jednego nazwiska kolegów z oddziału. Na krótko wrzucono go do celi gauleitera Kraju Warty, SS - Obergruppenführera Arthura Karla Greisera.

Usłyszał wyrok, który odcisnął się na nim na całe życie:

- *Oskarżam Żołnierkiewicza Marka, członka Polskiego Stronnictwa Ludowego w Zbąszyniu, działającego w celu obalenia obecnego rządu i demokratycznego ustroju Państwa Polskiego, który brał czynny udział w napadzie rabunkowym z bronią w ręku na majątek Zakrzewo powiat Nowy Tomyśl i skazuję łącznie na karę śmierci, utratę praw publicznych i obywatelskich praw honorowych na zawsze oraz przepadek mienia.*

- Poczułem, jakby ktoś wbił mi igłę w krzyż – mimo upływu wielu lata wspomnienie tamtej chwili jest tak mocne, że Marek Żołnierkiewicz milknie na chwilę i ucieka myślami do tamtych lat, a po twarzy przebiega mu grymas. Gdy wraca do rzeczywistości, dodaje: – To nie było zwykłe odczytanie wyroku, a mściwa satysfakcja zwycięzcy. Spodziewałem się, że będzie wysoki, bo komuniści nie patyczkowali się z partyzantami. Śledczy zapowiedzieli mi, że jak nie podam nazwisk kolegów, pożegnam się z życiem.

Głos sędziego nadal pamięta, choć tamten dawno już nie żyje, a ukarali go sami swoi.

- Jeszcze za kratami dowiedziałem się, że sędzia Garnowski znany był z wyjątkowej złośliwości i orzekania surowych kar wobec „politycznych". Gdy Gomułka doszedł do władzy i nastąpiła chwilowa odwilż, Garnowskiego zdymisjonowano za wydawanie wysokich wyroków w sprawie oficerów marynarki. Ale i tak krzywdy mu nie zrobili, bo podobno dostał dobrą posadkę w Ministerstwie Sprawiedliwości.

Oddział AK „Warta"

Zbąszyń, rodzinne miasto Marka, po wrześniu 1939 r. znalazło się w obrębie Reichsgau

Warthenland, Kraju Warty. Armia Krajowa posiadała tu swoje oddziały i placówki terenowe. Ich działania koncentrowały się głównie na akcjach wywiadowczych i typowo prewencyjnych.

Oddział terenowy AK „Warta", do którego od 1944 r. należał, podlegał grupie „Zachód", dowodzonej przez ppłk. Rzewuskiego, który po wojnie został aresztowany i osadzony w poznańskim więzieniu, a następnie – według oficjalnej wersji – zmarł na gruźlicę. W więzieniu Marek usłyszał od współosadzonych odmienną historię, choć wiarygodności jej nie udało mu się nigdy sprawdzić. Ponoć komendant nie dał się złamać podczas UB-owskich przesłuchań. Wydano więc nań „nieoficjalny" wyrok śmierci. Jego wykonanie powierzono dwóm niemieckim więźniom, byłym SS-manom, których Urząd Bezpieczeństwa wykorzystywał w specjalnych sprawach. To jeden z nich, o nazwisku Schultz, wykonując rozkaz mocodawców z UB, założył podpułkownikowi pętlę na szyję.

Bezpośrednim dowódcą AK „Warta" był Kazimierz Ludwiczak ps. „Pogromca", który po wsypie uciekł prawdopodobnie na Zachód.

Marek wciągnął do organizacji Zbyszka, swojego starszego brata, który na początku 1940 r. trafił do obozu w Fürstenwalde wraz z dużą grupą inteligencji zbąszyńskiej. Tu zaangażował się w działania konspiracyjne francuskiego ruchu oporu, jako że gros więźniów

tworzyli Francuzi. To doświadczenie przydało się po powrocie do kraju w 1945 r. W oddziale został wykorzystany jako propagandysta i twórca ulotek rozpowszechnianych po mieście i okolicy. Gdy nastąpiła wsypa oddziału, w akcie oskarżenia napisano, że ulotki te nawoływały „*do obalenia obecnego Rządu oraz ustroju demokratycznego Państwa Polskiego*". Podkreślono, że Zbigniew Żołnierkiewicz „*dążył do zerwania jedności sojuszniczej ze Związkiem Radzieckim, zaś z drugiej strony, namawiał do wstępowania w szeregi Polskiego Stronnictwa Ludowego, gdyż Polskie Stronnictwo Ludowe jest jedyną partią, której dobro Polski leży na sercu*".

Zdrajca wśród nas

W okresie okupacji Marek dowodził miedzy innymi jedną z wypraw karnych do niemieckiego majątku Elenau we wsi Zakrzewo. AK otrzymało informację, że właściciel brutalnie traktuje zatrudniane Polki. Zmusza je do pracy przez cały tydzień bez odpoczynku i wydziela głodowe racje. Większość z tych kobiet była samotna, jako że mężowie nie wrócili z wojny.

Już po wojnie, już reprezentując AK „Warta" Marek ponownie pojawił się w tym majątku, administrowanym wówczas przez Rosjan. Tym razem chodziło o akcję bardziej propagandową. Zarekwirowano na rzecz oddziału maszynę do pisania. Prócz niego i jego dowódcy „Pogromcy", wziął w niej udział dawny ich kolega. Zdaniem Zbyszka Żołnierkiewicza, to właśnie ten człowiek prawdopodobnie wsypał jego brata.

– Nasz kolega ze Zbąszynia, Kazimierz Dudziak, służył w tym czasie w wojsku i przyjechał akurat na przepustkę do domu, tak nas zapewniał. - Opowiadał mi Zbigniew Żołnierkiewicz po latach. – Dowódca „Pogromca" wyszedł z założenia, że Kazik, jako potencjalnie nieobecny, przez nikogo nie będzie podejrzany. A jego i Marka nikt nie zadenuncjuje, nawet w przypadku rozpoznania, gdyż pracujące w majątku kobiety miały wobec Marka dług wdzięczności z lat okupacji.

Po wpadce trzy sprawy wydały się członkom oddziału zastanawiające. Po pierwsze – Urząd Bezpieczeństwa znał szczegóły wyprawy. Po drugie – nie miał pojęcia, kim byli pozostali członkowie organizacji. Po trzecie – nazwisko Dudziaka wprawdzie figurowało w sporządzonym akcie oskarżenia, ale później nie spotkała go żadna kara, a wprost przeciwnie, został zawodowym żołnierzem, awansując do rangi podpułkownika. Wnioski, kto wsypał uczestników wyprawy do Elenau, nasuwały się same.

Przy okazji aresztowania grupy „Warta" wsadzono do więzienia również zbąszyńskiego prezesa PSL. Głównym zarzutem był fakt, iż znał „Pogromcę" i – jak napisano w aktach – musiał wiedzieć o „bandyckich" planach i „napadach". W czasie licznych przesłuchań śledczy nie przebierali w środkach i metodach „perswazji". Marek niezmiennie nie chciał zdradzić nazwisk kolegów, twierdząc, że cały czas działał sam. Była to naiwna postawa, ale – jak się okazało – częściowo skuteczna. „Pogromcy" funkcjonariusze UB nie potrafili namierzyć. Natomiast obowiązujący w oddziale system trójkowy skutecznie chronił pozostałych członków. UB szukało więc na oślep, aresztując tylko kilka osób z grona najbliższych kolegów Marka oraz jego brata, Zbyszka.

„Kurier Wielkopolski" z 4 października 1946 r. relacjonując sądową rozprawę, podał informację mającą świadczyć o obiektywności poznańskiego Wojskowego Sądu Rejonowego. W artykule napisano: „*Przewód sądowy nie wykazał winy odnośnie do przynależenia do AK „Warta" Dulata, Mani i Łapawy i od tego zarzutu ich uwolnił*". Dziennikarz skłamał. W rzeczywistości Stanisław Dulat otrzymał wyrok 5 lat więzienia, Walerian Mania został skazany na 10 lat więzienia, a Antoni Łapawa na 5 lat. Marek Żołnierkiewicz otrzymał najwyższy wyrok: karę śmierci.

Razem z gauleiterem

Na wykonanie wyroku śmierci Marek czekał zamknięty w poznańskim więzieniu przy ulicy Młyńskiej. Najgorsze chwile więzień przeżywał w czasie, gdy inni już dawno spali. Nazywa je nocnymi „wizytami śmierci". Żaden ze skazanych na śmierć wówczas nie mógł zmrużyć oka.

Nasłuchiwali. To właśnie wówczas kroki oprawców idących po ofiarę odbijały się w korytarzu głośnym echem. A potem następował odgłos obijających się o siebie kluczy i dźwięk otwieranej którejś z cel. Gdy przychodził poranek okazywało się, że któregoś z nich już nie ma.

Jeszcze przed rozprawą, gdy przesłuchiwano go w areszcie w Poznaniu, zdarzył się dziwny przypadek. Na bardzo krótko, ze względu na brak miejsc w celach albo przez pomyłkę, wrzucono go do celi, w której trzymano gauleitera Reichsgau Warthenland, SS - Obergruppenführera Arthura Karla Greisera.

Marek opowiadał później, że go nie poznał, myśląc, że to jeden z wielu Niemców, o których słyszał, że służą UB-owcom do brudnej roboty. Długa noc, a może inne względy spowodowały, że zaczęli rozmawiać. Niemiec przedstawił się.

– Przedstawił się. Ja też. Nie wiem, dlaczego, ale nie poczułem do niego nienawiści, choć bardzo chciałem. - Wspominał. - Miałem przed sobą człowieka, który wiedział, że zostanie zabity. Wymieniliśmy opinie neutralne. A po tym, jakoś tak wyszło, że wymieniliśmy uwagi, jak ludzie, którzy już nic nie mają do stracenia, bo czeka ich tylko śmierć.. Bardzo mnie zaskoczył, gdy mówił z szacunkiem o polskim ruchu oporu, którego Niemcy nie potrafili zdławić. Padło nawet zdanie, że gdyby mieli w nas, Polakach, sojuszników, to Sowieci nigdy by nie zwyciężyli.

Spytałem go, czy żałuje tego, co robił. Powiedział, że nie, że wierzył, że robił dobrze dla swojej ojczyzny.

Ktoś w więzieniu chyba zorientował się, z kim posadzono Marka, bo szybko go zabrano z celi Greisera. Pamięta doskonale noc, gdy gauleitera wyprowadzano z celi. Później dowiedział się, że został publicznie powieszony.

Kolejne noce oczekiwania i wsłuchiwanie się w ponurą ciszę, czy nie przerwą jej kroki zbliżających się egzekutorów.

– Gdy przyszedł grudzień - wspomina – nadeszło też przemożne pragnienie, choć jeszcze jeden raz przełamania się opłatkiem wigilijnym z mamą i Zbyszkiem. Ojciec już nie żył, a Edmund, najstarszy brat, zginął na wojnie. W domu pozostała sama mama, prawie siedemdziesięcioletnia. Wszystkich straciła. I wówczas, w tej samotności czekania na śmierć, odczułem fizyczną bliskość Boga. Myślę, że to odczucie dane jest ludziom tylko w tak ekstremalnych warunkach.

Czarne może być białe

Pierwszym po aresztowaniu przesłuchującym Marka był śledczy, porucznik Cichy. Na filmach śledztwa toczą się szybko, a występujące postacie są czarne albo białe. Zdaniem Marka w życiu jest więcej szarości i odcieni tego, co polityczna literatura nazywa złem i dobrem.

- Podczas wielu godzin przesłuchań, które daleko odbiegały od tego, czego się spodziewałem, wyszło na jaw, że obaj znamy Emilię Cichy i księdza z Cleveland, Wojciecha Cichego. Okazało się, że ta dwójka była kuzynami jego ojca i jednocześnie kuzynostwem mojej mamy. Na początku myślałem, że podpuszcza mnie. Nie ufałem mu, ale coś mi w środku mówiło, że to nie jest spreparowana historyjka na użytek śledztwa. Namawiał mnie, bym przyrzekł współpracę, to wyciągnie mnie i brata. Odmówiłem. Wkrótce zmieniono go na innego. Nowy, podporucznik UB Jerzy Ledzian, okazał się moim kolegą za szkoły. Obaj zachowywali się bardzo przyzwoicie i w niczym nie przypominali następnych śledczych, tępych bandytów, neandertalczyków w mundurach, których jedynymi argumentami były wrzask i bicie.

Zbąszyń to mała miejscowość i mieszkańcy szybko dowiedzieli się, kto przyczynił się do wystawienia rodzinie Żołnierkiewiczów bardzo negatywnej opinii, a w konsekwencji pośrednio przyczynił się do wydania wyroku śmierci na Marka Żołnierkiewicza. Prócz mikołajczykowskiego PSL, działały tu dwie prosowieckie partie, PPS i PPR.

- Obaj miejscowi przywódcy PPS i PPR, Piwecki, były kolejarz, i Twardosz, były robotnik, z ludzi nic nie posiadających, szybko dorobili się dobrze prosperujących knajp –

opowiadał Zbyszek. – Kiedy spotykali się na ulicy, jeden lub drugi przechodził na drugą stronę i obaj, stojąc przy krawężnikach, wrzeszczeli na siebie, wyzywając się od byłych konfidentów gestapo. Pepeerowiec Targosz pracował przed wojną u naszego ojca, Witolda Żołnierkiewicza, który prowadził miejską gazownię. Miał u ojca jak najgorszą opinię lenia i wyjątkowego bumelanta. Ojciec wielokrotnie groził mu zwolnieniem, ale ten zawsze brał go na litość i obietnicę poprawy. Później, już po wojnie, kiedy został szefem partii, odgrażał się, że zrobi porządek z rodziną tego Żołnierkiewicza, wyzyskiwacza i ludowego krwiopijcy.

- Utrwaliła mi się z więzienia postać Jana Bartczaka, naczelnika więzienia we Wronkach – wspomina Marek. – Gdy nas przywieziono, a było to 18 grudnia, zima była w pełni. To z jego rozkazu system „uzdatniania" politycznych rozpoczynał się już przy wjeździe. Na placu apelowym rozstawiono nas co kilka metrów, a później rozkazano rozebrać się do naga. Szczegółowo przeszukano ubrania. U mnie znaleziono książeczkę do nabożeństwa. – Co to jest? – wyskoczył na mnie „z mordą" jeden z cywili. Później powiedziano mi, że to właśnie Bartczak. – *Książeczka do...* – nie pozwolił mi nawet dokończyć, wyzywając od „reakcjonistycznych świń", „bandytów" etc. Jakby tego było mało, naczelnik kazał „zmiękczyć" więźniów. Nago w mrozie staliśmy przez trzy i pół godziny, ledwie żywi, półprzytomni, zsiniali z zimna, w postawie na baczność. Gdy wreszcie zmarzli również sami strażnicy, wydano rozkaz „rozgrzewki". Ustawili się w dwuszereg, przez który ledwie żyjący więźniowie musieliśmy przejść. Owa rozgrzewka polegała na okładaniu nas pasami. Nie wiem, jak to przeżyłem.

Po tym pierwszym apelu Marek od razu trafił na 6 tygodni do izolatki za „niesubordynację".

Zanim go zamknięto, przeszukano mu jamę ustną i odbyt.

- Bartczak to był typowy ich człowiek – mówi. – To na jego rozkaz strzelano do jednego z naszych kolegów, który psychicznie nie wytrzymał i załamał się nerwowo. Bartczaka przeniesiono później do Szczecina i z tego, co mi wiadomo, mianowano bodajże wiceprzewodniczącym Rady Narodowej.

W rok później, 5 marca, po wejściu w życie amnestii z 22 lutego 1947 r., Markowi zamieniono karę śmierci na 10 lat więzienia i utratę praw publicznych oraz honorowych na lat pięć. Z więzienia wyszedł 8 lipca 1954 roku. W rok później poznał żonę, Ludwikę Praczyk, która znalazła pracę w Szczecinie. On przyjechał za nią w 1957 r. Podjął prace w Szczecińskich Zakładach Przemysłu Terenowego, a następnie w Fabryce Kabli „Załom", gdzie pracował jako mistrz i nauczyciel, do emerytury. Do tego miasta razem ściągnęli młodszego brata Ludwiki, Jana.

Marek zmarł 29 kwietnia 2004 r. Do końca życia nie mógł zapomnieć chwil, gdy nocami nasłuchiwał, czy oprawcy nie zatrzymają się przed jego celą, aby wyprowadzić go na stracenie.